

II. ŁOWCA

Pośród dolin żył sobie myśliwy. Dzień w dzień polował on w lasach na dzikie ptactwo i zdarzyło się, że pewnego razu stanął nad brzegiem dużego jeziora. Gdy tak stał w szuwarach, czekając na przylot ptaków, padł na niego wielki cień, a w tafli wody zobaczył dziwne odbicie. Spojrzał w niebo, ale niczego tam już nie było. Ogarnęło go wtedy palące pragnienie, aby jeszcze raz zobaczyć to odbicie w lustrze wody, i cały dzień patrzył i czekał, ale nadeszła noc i odbicie się nie pojawiło. Wrócił do domu z pustą torbą, ponury i milczący. Jego towarzysze pytali o niego, aby poznać powód jego stanu, ale nic im nie odpowiadał; siedział sam i rozmyślał. Wtedy nadszedł jego przyjaciel a myśliwy przemówił do niego:

„Widziałem dzisiaj”, powiedział, „coś, czego nie widziałem nigdy wcześniej – ogromnego białego ptaka, z rozpostartymi srebrnymi skrzydłami, sunącego w locie po wiecznym błękiecie. I teraz to tak, jakby wielki ogień płonął w mojej piersi. To był tylko blask, migotanie, odbicie w wodzie; ale teraz nie pragnę niczego więcej na ziemi, jak tylko ponownie to zobaczyć.”

Jego przyjaciel roześmiał się.

„To był tylko promień igrający na wodzie, albo cień twojej własnej głowy. Jutro o niej zapomnisz”, powiedział.

Ale następnego dnia, i następnego, i kolejnego, myśliwy wędrował samotnie. Szukał w lesie i pośród drzew, nad jeziorami i wśród szuwarów, ale nie mógł jej znaleźć. Nie strzelał więcej do dzikiego ptactwa; czymże one były dla niego?

„Co mu dolega?”, pytali jego towarzysze.

„Oszałał”, odparł jeden z nich.

„Nie, ale jest z nim gorzej”, rzekł inny. „Zobaczył to, czego nikt z nas nie widział, i to go zadziwiło”.

„Dalej, porzućmy jego towarzystwo”, powiedzieli wszyscy zgodnie.

Łowca chadzał więc sam.

Pewnej nocy, gdy błąkał się w cieniu, bardzo zbolały i zapłakany, stanął przed nim starzec, wspanialszy i wyższy niż synowie ludzcy.

„Kim jesteś?”, zapytał myśliwy.

„Jestem Mądrość”, odpowiedział starzec, „ale niektórzy ludzie nazywają mnie „Wiedza”. Całe moje życie dorastam w tych dolinach; ale nikt mnie nie widzi, dopóki bardzo nie ogarnie go wielki smutek. Oczy, które mają mnie oglądać, muszą być obmyte łzami; i przemawiam podług tego, jak człowiek cierpiać”.

I myśliwy zakrzyknął:

„Och, ty, który mieszkasz tu od tak dawna, powiedz mi, czym jest ten wielki dziki ptak, którego widziałem żeglującego po błękicie? Chcieliby, żebym uwierzył, że to sen; miraż pochodzący z mojej własnej głowy”.

Stary człowiek uśmiechnął się.

„Jej imię to Prawda. Kto raz ją zobaczył, nigdy już nie spocznie. Pragnie jej aż do śmierci”.

A myśliwy zapłakał:

„Och, powiedz mi, gdzie mogę ją znaleźć”.

Ale stary człowiek odpowiedział:

„Nie wycierpiałeś wystarczająco dużo”, i poszedł.

Wtedy myśliwy wyjął z kieszeni na piersi tkackie czółenko Wyobraźni, i zaczął nawijać na nie nić Życzeń; i całą noc siedział i tkał sieć.

Rano rozłożył na ziemi złotą sieć, i wrzucił do niej kilka ziarenek łatwowierności, które zostawił mu ojciec, a które także trzymał w kieszeni na piersi. Były jak białe kuleczki, a gdy się je ścisnęło, wylatywał z nich brązowy pył. Potem przysiadł i patrzył, co się wydarzy. Pierwsze, co wpadło do sieci, to śnieżnobiały ptak o gołębih oczach, śpiewający piękną pieśń – „Człowiek–Bóg! Człowiek–Bóg! Człowiek–Bóg!” swiergotał. Drugi ptak, który przyszedł, był czarny i mistyczny, z ciemnymi, pięknymi oczami, zaglądającymi w głąb duszy, i wyśpiewujący tylko jedno słowo: „Nieśmiertelność!”.

I myśliwy wziął je oba w ramiona, mówiąc:

„Z pewnością pochodzą z pięknej rodziny Prawdy”.

Potem pojawił się inny, zielony i złoty, śpiewający wrzaskliwym głosem, jak ktoś wołający na rynku – „Nagroda po śmierci! Nagroda po śmierci!”.

A on powiedział:

„Nie jesteś taki piękny, ale i tak jesteś ładny”, i wziął go.

I nadeszły inne, jaskrawo ubarwione, śpiewając przyjemne melodie, aż wszystkie ziarna się skończyły. I myśliwy zebrał wszystkie swoje ptaki i zbudował mocną żelazną klatkę, zwaną nowym *credo*, i umieścił w niej wszystkie swoje ptaki.

Wtedy ludzie zaczęli tańczyć i śpiewać.

„O, szczęśliwy myśliwy!”, wołali. „O, wspaniały człowieku! O, rozkoszne ptaki! O, piękne pieśni!”.

Nikt nie pytał, skąd pochodzą te ptaki, ani jak zostały złapane, lecz wszyscy tańczyli i śpiewali przed nimi. I myśliwy

także się radował, bo powiedział:

„Z pewnością Prawda jest wśród nich. Z czasem wypierzy swoje pióra, a ja zobaczę jej śnieżnobiałą postać”.

Ale czas mijał, ludzie śpiewali i tańczyli, a serce myśliwego stawało się coraz cięższe. Krył się w samotności, jak dawniej, by szlochać; a owo straszne pragnienie obudziło się na nowo w jego piersi. Pewnego dnia, gdy siedział w odosobnieniu płacząc, spotkał go Mądrość. Opowiedział starcowi, co zrobił.

A Mądrość uśmiechnął się smutno.

„Wielu ludzi”, powiedział, „rozpostarło tę sieć dla Prawdy; ale nigdy jej nie znaleźli. Nie pożywi się ziarnami łatwowierności; jej stopy nie dadzą się złapać w sieć życzeń; nie odetchnie powietrzem tych dolin. Ptaki, które złapałeś, są z rodu Kłamstwa. Śliczne i piękne, ale to wciąż kłamstwa; Prawda ich nie zna”.

A myśliwy zawołał z goryczą: „Czy mam zatem pozostać bierny, aby pochłonał mnie ten wielki płomień?”.

A starzec rzekł: „Posłuchaj, a ponieważ wiele wycierpiałeś i wiele przepłakałeś, powiem ci, co wiem. Ten, kto wyrusza na poszukiwanie Prawdy, musi na zawsze opuścić te doliny przesądów, nie zabierając ze sobą ani krzty, która do nich należała. Musi powędrować samotnie w dół, do krainy absolutnej negacji i zaprzeczenia; musi tam pozostać; musi oprzeć się pokusie; a kiedy pojawi się światło, musi powstać i podążać za nim do kraju suchego słońca. Góry surowej rzeczywistości wzniosą się przed nim; musi się na nie wspiąć; za nimi leży Prawda”.

„I będzie ją mocno trzymał! Będzie ją trzymał w swoich rękach!”, zawołał myśliwy.

Mądrość potrząsnął głową.

„Nigdy jej nie zobaczy, nigdy jej nie przytuli. Jeszcze nie nadszedł czas”.

„Więc nie ma żadnej nadziei?”, wykrzyknął myśliwy.

„Jest to,” powiedział Mądrość: „Niektórzy ludzie wspinali się na te góry, wspinali się na kręgi nagich skał, i wędrując tam, tak wysoko, niektórzy mieli szansę podnieść z ziemię jedno białe srebrzyste pióro, upuszczone ze skrzydła Prawdy. I stanie się”, powiedział starzec, powstawszy niczym prorok i wskazując palcem na niebo, „stanie się tak, że kiedy wystarczająca ilość tych srebrnych piór zostanie zebrana rękoma ludzi i spleciona w sznur, a sznur w sieć, to w taką sieć może zostać schwytana Prawda. Nic poza Prawdą nie jest w stanie schwycić Prawdy”.

Myśliwy wstał. „Idę”, powiedział.

Ale Mądrość go powstrzymał.

„Zważ dobrze – kto opuszcza te doliny, nigdy do nich nie wraca. Choćby płakał krwawymi łzami siedem dni i nocy nad ich granicami, nie postawi na nich stopy. Pozostawione raz, zostają opuszczone na zawsze. Na drodze, którą chcesz podążać, nie ma żadnej nagrody. Kto idzie, idzie za darmo – z powodu wielkiej miłości, która w nim jest. Praca jest jego nagrodą”.

„Idę”, rzekł myśliwy; „ale, powiedz mi, którą drogą mam podążać w górach?”.

„Jestem dzieckiem Skumulowanej Wiedzy Wieków”, powiedział mężczyzna. „Mogę chodzić tylko tamtędy, którą stąpało wielu ludzi. Po tych górach niewiele przeszło stóp; każdy człowiek sam sobie wytycza drogę. Idzie na własne ryzyko: mojego głosu już nie usłyszy. Mogę iść za nim, ale nie mogę iść przed nim”.

Potem Mądrość zniknął.

Łowca odwrócił się. Podszedł do swojej klatki i gołymi rękami wyłamał kraty, a poszarpane żelazo rozerwało mu skórę. Czasami łatwiej jest budować niż niszczyć.

Jeden po drugim wyciągał swoje ptaki i wypuszczał je wolno. Ale kiedy nadeszła kolej na ptaka o ciemnych piórach, przytrzymał go i spojrzał w jego piękne oczy, a ptak wymówił swój niski, głęboki okrzyk: „Nieśmiertelność!”.

A łowca szybko stwierdził: „Nie mogę się z nim rozstać. Nie jest ciężki, nie jada. Schowam go do piersi, wezmę go ze sobą”. I ukrył go, przykrywając swoim płaszczem.

Jednak to, co ukrył, stawało się coraz cięższe, cięższe, cięższe, aż obciążało jego piersi jak ołów. Nie mógł się z tym ruszyć. Nie mógł z tym opuścić dolin. Wtedy znów go wyjął i spojrzał na niego.

„O, moja piękna istoto! Moje serce!”, zawołał. „Czy nie mogę cię zatrzymać?”.

Otworzył ręce ze smutkiem.

„Idź!”, powiedział. „Może się zdarzy, że w pieśni Prawdy jedna nuta będzie podobna do twojej; ale ja nigdy jej nie usłyszę”.

Ze smutkiem otworzył dłonie i ptak odleciał od niego na zawsze.

Potem z czółenka Wyobraźni zdjął nić swoich życzeń i rzucił ją na ziemię, a puste czółenko włożył do piersi, bo nić powstała w tych dolinach, ale czółenko pochodziło z nieznanego kraju. Odwrócił się, aby odejść, ale w tej chwili nadeszli ludzie, wyjąc:

„Głupiec, pies gończy, obłąkany szaleniec!”, ryczeli. „Jak śmiałeś popsuć klatkę i pozwolić ptakom uciec?”

Myśliwy mówił, ale oni go nie słuchali.

„Prawda! Kim ona jest? Czy można ją zjeść? Czy można ją wypić? Ktoś ją kiedykolwiek widział? Twoje ptaki były prawdziwe: wszyscy mogli usłyszeć ich śpiew! Och, głupcze! Podły gadzie! Ateisto!”, wołali. „Zanieczyszczasz powietrze”.

„Dalej, weźmy kamienie i ukamienujmy go”, wzywali niektórzy.

„Czy to nasza sprawa?”, stwierdzili inni. „Puśćcie tego idiotę”, i odeszli. Ale pozostali zebrali kamienie i błoto i rzucali w niego. W końcu, posiniaczony i poraniony, myśliwy wykradł się do lasu. I wokół niego zapadł wieczór.

Wędrował dalej i dalej, a cień się pogłębiał. Był teraz na granicy krainy, gdzie zawsze panuje noc. Wszedł do niej, i nie było tam światła. Rękami błędził, ale każda gałąź, której dotykał, odłamywała się, a ziemia była pokryta żużlem. Przy każdym kroku jego stopa zapadała się w ziemię, drobny obłok niewyczuwalnego popiołu leciał mu w twarz; a było ciemno. Usiadł więc na kamieniu i ukrył twarz w dłoniach, czekając w Krainie Negacji i Zaprzeczenia, aż nadejdzie światło.

W jego sercu też była noc.

Potem z bagien po jego prawej i lewej stronie podniosły się zimne mgły i zamknęły się wokół niego. Drobny, niezauważalny deszcz padał w ciemności, a wielkie krople zbierały się na jego włosach i ubraniu. Serce biło mu powoli, a przez wszystkie kończyny przechodziło odrętwienie. Wtedy, gdy spojrzał w górę, zatańczyły dwa wesołe światełka. Podniósł głowę, by na nie popatrzeć. Zbliżały się i zbliżały. Były tak ciepłe, tak jasne, tańczyły jak ogniste gwiazdy. W końcu stanęły przed nim. Ze środka promieniującego płomienia w jednej z nich, wyjrzała twarz kobiety, roześmiana, z dołeczkami, z rozwianymi żółtymi włosami. W środku

drugiego były wesołe, śmiejące się fale, takie jak bąbelki w kieliszku wina. Tańczyły przed nim.

„Kim jesteście”, zapytał myśliwy, „wy, które samotnie przychodzicie do mnie w moim odosobnieniu i ciemności?”.

„Jesteśmy bliźniaczą Zmysłowością”, zawołały. „Nasz ojciec ma na imię Ludzka-Natura, a nasza matka Nadmiar. Jesteśmy stare jak wzgórza i rzeki, tak stare jak pierwszy człowiek; ale nigdy nie umieramy”, śmiały się.

„Och, pozwól mi objąć cię ramionami!”, zawołała pierwsza; „Są miękkie i ciepłe. Twoje serce teraz zamarzło, ale ja sprawię, że zacznie bić. Och, chodź do mnie!”.

„Wleję w ciebie moje gorące życie”, powiedziała druga; „Twój mózg odrętwiał, a kończyny zmartwiały; ale ożyją z zaciętością wolnego życia. Och, pozwól mi je zalać życiem!”.

„Och, chodź za nami”, wołały, „i żyj z nami. Szlachetniejsze serca niż twoje siedziały tu w tej ciemności, czekając, i przyszły do nas, a my do nich; i nigdy nas nie opuściły, nigdy. Wszystko inne jest ułudą, ale my jesteśmy prawdziwe, my jesteśmy prawdziwe, my jesteśmy prawdziwe. Prawda jest cieniem, doliny przesądów są farsą, ziemia jest popiołem, drzewa próchnem, ale my – poczuj nas – my żyjemy! Nie możesz w nas wątpić. Poczuj, jakie jesteśmy ciepłe! Och, chodź do nas! Chodź z nami!”.

Wznosili się bliżej i bliżej jego głowy, a zimne krople odparowywały na jego czole. Jasne światło błysnęło mu w oczy, oślepiając go, i zamarznięta krew zaczęła płynąć na nowo. A on powiedział:

„Tak, dlaczego mam umierać tutaj, w tej okropnej ciemności? Są ciepłe, roztopiają moją zamarzniętą krew!”, i wyciągnął ręce, bym mógł się ich chwycić.

Nagle pojawił się przed nim obraz tego, co kochał, i ręka opadła mu do boku.

„Och, chodź do nas!”, wołały.

Ale zakrył twarz.

„Oślepiacie mnie”, zawołał, „rozgrzewacie moje serce, ale nie możecie dać mi tego, czego pragnę. Będę tu czekał – czekał, aż umrę. Odejdźcie!”.

Zakrył twarz rękami i nie chciał słuchać, a kiedy spojrzał w górę, znalazły się tam dwie migoczące gwiazdy, które zniknęły w oddali.

A długa, długa noc toczyła się dalej.

Wszyscy, którzy opuszczają dolinę przesądów, przechodzą przez tę ciemną krainę, lecz niektórzy przechodzą przez nią w ciągu kilku dni, niektórzy pozostają tam przez miesiące, niektórzy przez lata, a inni w niej umierają.

Wreszcie myśliwy dostrzegł słabe światło na horyzoncie i podniósł się, aby za nim podążać; w końcu do niego dotarł i wszedł w szeroki blask słońca. Wtedy wzniosły się przed nim wszechmocne góry Suchych Faktów i Rzeczywistości. Czysty blask słońca igrał na nich, a szczyty gubiły się chmurach. U ich podnóża biegło w górę wiele ścieżek. Myśliwemu wyrwał się okrzyk radości. Wybrał najprostszą drogę i zaczął się wspinać, a skały i pasma górskie rozbrzmiewały jego pieśnią. Wcale nie było tak wysoko, ani też droga nie była aż tak stroma! Kilka dni, kilka tygodni, najwyżej kilka miesięcy, a potem szczyt! Nie podniesie zaledwie jednego pióra, zbierze wszystko, co znaleźli inni ludzie – utka sieć – schwyta Prawdę – przytrzyma ją mocno – dotknie swoimi rękami – obejmie ją!

Śmiał się w wesołym słońcu i śpiewał głośno. Zwycięstwo było już bardzo blisko. Po chwili jednak ścieżka stała się bardziej

stroma. Do wspinaczki potrzebował całego tchu, i śpiew zamarł. Po prawej i lewej stronie wznosiły się ogromne skały, pozbawione porostów i mchu, a z zaschniętej wulkanicznej ziemi zionęły przepaści. Tu i ówdzie widać było połysk białych kości. W końcu ścieżka zaczęła się robić coraz mniej wyraźna, potem stała się tylko śladem, z odciskiem stopy tu i tam; wreszcie zupełnie zniknęła. Nie śpiewał już więcej, ale parł naprzód przecierając szlak, aż dotarł do potężnej ściany skalnej, gładkiej i bez załamania, ciągnącej się tak daleko, jak tylko oko widziało. „Wykuję schody, a gdy już wejść na tę ścianę, będę prawie na miejscu”, powiedział odważnie i zaczął pracować. Swoim czółenkiem Wyobraźni wykopywał kamienie, ale połowa z nich nie pasowała i pół miesiąca pracy stoczyło się w dół, ponieważ kamienie ułożone na dole były źle dobrane. Ale myśliwy pracował dalej, powtarzając sobie: „Jak tylko wdrapię się na ten mur, będę już prawie na miejscu. Cała wielka praca będzie skończona!”.

W końcu wszedł na szczyt i rozejrzał się wokół. Daleko w dole nad dolinami przesądów rozpościerała się biała mgła, a nad nią wznosiły się góry. Wcześniej wydawały się niskie, teraz miały wprost niezmierzoną wysokość, od korony do fundamentów otoczone były ścianami skał, ciągnących się wyżej i wyżej w potężnych kręgach. Na nich igrało wieczne słońce. Łowca wydał z siebie dziki okrzyk. Pokłonił się do ziemi, a gdy uniósł twarz, była cała blada. W absolutnej ciszy szedł dalej. Był teraz bardzo cichy. W tych wysokich rejonach rozrzedzone powietrze sprawia, że trudno jest nim oddychać zwłaszcza ludziom urodzonym w dolinach. Każdy oddech sprawiał mu ból, a krew odpływała z czubków jego palców. Przed następną ścianą skalną odzyskał siły i zaczął intensywnie pracować dalej. Wysokość wydawała się ciągnąć w nieskończoność, ale on powiedział ani słowa. Dźwięk jego narzędzia kującego żelazne

skały, w których wycinał stopnie, rozbrzmiewał dniem i nocą. Mijały lata, a on pracował dalej, jednak ściana ponad nim wznosiła się aż do nieba. Czasami modlił się, aby na tych nagich ścianach wyrósł choćby mały żywy mech lub porost, który mógłby mu towarzyszyć, ale to nigdy się nie zdarzało.

Lata mijały, a on liczył je według wyciętych stopni – było ich kilka na rok – tylko kilka. Już nie śpiewał, nie mówił: „Zrobię to czy tamto”, tylko pracował. A nocą, gdy zapadał zmierzch, z dziur i szczelin w skałach spoglądały na niego dziwne, dzikie oblicza.

„Przerwij swą pracę, samotny człowieku, i przemów do nas”, wołały.

„Moje zbawienie jest w pracy, gdybym się zatrzymał choć na chwilę, to byście się na mnie rzucili”, odpowiadał. A oni wyciągali dalej swoje długie szyje.

„Spójrz w dół, w tę szczelinę u twoich stóp”, mówili. „Zobacz, co tam leży – białe kości! Tak odważnego i silnego człowieka jak ty, co wspiał się na te skały”. A on spojrzał w górę. Zobaczył, że nie ma sensu się starać; nigdy nie uchwyci Prawdy, nigdy jej nie zobaczy, nigdy jej nie znajdzie. Położył się więc, bo był bardzo zmęczony, gotów zasnąć na zawsze. Ułożył się do snu. Sen to wielki spokój. Kiedy śpisz, nie jesteś samotny, nie bołą cię ręce, ani serce. A myśliwy zaśmiał się przez zęby.

„Czy wydarłem z mego serca wszystko, co było mi najdroższe; czy wędrowałem samotnie po krainie nocy; czy oparłem się pokusie; czy mieszkałem tam, gdzie nigdy nie słyhać głosu mojego rodzaju, i pracowałem samotnie, aby położyć się i być pokarmem dla was, wy, harpie?”

Roześmiał się zaciekle, a Echa Rozpaczy odeszły, bo śmiech odważnego, silnego serca jest dla nich jak śmiertelny cios.

Mimo to po chwili znów się zakradły i spojrzały na niego.

„Czy wiesz, że twoje włosy są białe?”, mówiły. „Że twoje ręce zaczynają drżeć jak u dziecka? Czy widzisz, że czółenko nie ma czubka, że jest już pęknięte? Jeśli kiedykolwiek raz wejdiesz na te schody”, powiedzieli, „będzie to twój ostatni raz. Nigdy nie wejdiesz na inne”.

A on odpowiedział: „Wiem!”, i pracował dalej.

Stare, wychudzone dłonie cięły kamienie źle i bezkształtnie, bo palce miał sztywne i powyginane. Piękno i siła tego człowieka zniknęły.

Wreszcie stara, pomarszczona, skurczona twarz wyrzała ponad skały. Ujrzał, jak wieczne góry wznoszą się ścianami do białych chmur; ale jego praca była na dziś skończona.

Stary myśliwy złożył zmęczone ręce i położył się nad przepaścią, nad którą przepracował całe swoje życie. W końcu nadszedł czas snu. Poniżej niego nad dolinami snuła się gęsta, biała mgła. Raz się rozstąpiła i przez szczelinę umierające oczy spojrzały na drzewa i pola swego dzieciństwa. Z daleka wydawał się dochodzić do niego krzyk jego własnych dzikich ptaków, i słyszał hałas tańca i śpiewu ludzi. I wydawało mu się, że słyszy wśród nich głosy swoich starych towarzyszy i widział słońce świecące z oddali na jego dawny dom. I wielkie łzy zebrały się w oczach myśliwego.

„Ach! Ci, którzy tam umierają, nie umierają sami”, zawołał.

Potem mgła znów zgęstniała, a on odwrócił wzrok.

„Szukałem”, powiedział, „przez długie lata pracowałem, ale jej nie znalazłem. Nie odpoczywałem, nie narzekałem, choć jej nie zobaczyłem; teraz nie mam już sił. Gdzie polegnę ja, wyczerpany, tam dotrą inni ludzie, młodzi i świeży. Po stopniach, które wyciąłem, będą się wspinać; po schodach,

które zbudowałem, będą wchodzić na górę. Nigdy nie poznają imienia człowieka, który je wykonał. Z niezgrabnej pracy będą się śmiać; gdy kamienie będą się staczać, będą mnie przeklinać. Ale wejdą na górę, dzięki memu dziełu, wejdą na górę, po moich schodach! Znajdą ją dzięki mnie! I nikt nie żyje dla siebie i nikt nie umiera dla siebie”.

Łzy potoczyły się spod wyschniętych powiek. Gdyby Prawda pojawiła się teraz nad nim w chmurach, nie mógłby jej zobaczyć, w jego oczach była już mgła śmierci.

„Moja dusza słyszy ich radosny, zbliżający się krok”, powiedział; „Im się uda!, Uda!”. Podniósł swoją uschniętą rękę do oczu.

Wtedy powoli z białego nieba ponad nim, poprzez nieruchome powietrze, coś nadleciało, spadając niżej i niżej. Delikatnie sfrunęło w dół i spoczęło na piersi umierającego. Rozpoznał to dłońmi.

To było piórko.

Umarł trzymając je w ręku.